



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

WIADOMOŚCI

Wrocław, ul. Kudowska Nr 9

wydanie
2 9 -01- 1975

teatr

DONOSY Z WARSZAWY

STARE PRZYŚŁOWIE ludowe po-
wiada: od przybytku głowa nie
boli. Jest to na dobrą sprawę
jeszcze jeden idiotyzm powtarzany z
pokolenia w pokolenie, bez zastanowie-
nia, ale za to z uporem. Świsty kult
głupoty przodków. Znam wiele przybyt-
ków, od których można dostać migre-
ny. Np. przybytek nowego, nieplanowa-
nego członka rodziny, lub wody w Od-
rze czy Wiśle ponad stan alarmowy, a
choćby – jak to w pierwszej połowie
grudnia działo się w m. st. Warszawie
– przybytek imprez teatralnych. Od
1 do 11 grudnia oprócz pięciu sztuk
na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych
 („Wyzwolenie”, „Noc listopadowa”,
 „Przedwiośnie”, „Szachy” i „A jak kró-
lem, a jak katem będziesz”) pokazano
cztery premiery miejscowe. Dziesięć
imprez na jedenaście dni! Tylko wszy-
stkostranne żółdki recenzenckie mo-
gły to skonsumować.

Publiczność rzuciła się na Spotkania
takim tłumem, że na pierwszy spektakl
 („Wyzwolenie” – Stary z Krakowa) na-

wet rezerwy MO nie zapewniły wejścia
wszystkim posiadaczom biletów. Kilku
osobom połamano żebra, parę przy-
duszono. Optymiści liczyli nawet na
zwolnienie się etatów redakcyjnych.
Alści ze spektaklu na spektakl robił się
coraz to większy ład przed teatrem i co-
raz przestronniej na widowni. Szczyt
przypadł na „Szachy” z Łodzi. Wpraw-
dzie umieszczono wówczas na scenie
zarówno widzów jak aktorów, to jednak
tłoku nie było. Może i lepiej, bo mimo
niewielkiej odległości ani wiele widać
ani wiele usłyszeć obecnym nie udało
się. Natomiast pomysł obudowania te-
renu gry ze wszystkich czterech stron
ścianami należy uznać za szczytowe
osiągnięcie w dziedzinie inscenizacji
awangardowej. Był to istny teatr okru-
cieństwa. Wobec publiczności.

Warszawska opinia kawiarniana
(na którą nieraz jeszcze się powołam)
przyjęła entuzjastycznie perfekcyjne i
wierne Wyspińskiemu „Wyzwolenie”
Swinarskiego, będąc w zgodzie z opi-
nią szerokiej publiczności. Stosunek
kawiarni do Wajdy, a raczej jego „No-
cy listopadowej” był nacechowany re-
zerwą. Spektaklowi zarzucano trochę
nieskładne efekciarstwo i zbyt zapo-
życzeń z międzynarodowego żurnala
mód teatralnych. Nie był to jednak sąd
równoznaczny z sądem publiczności
owacyjnie przyjmującej świetny spek-
takl.

Inna rzecz, że skończyło się z wy-
brzydzeniem na Kraków, gdy wyłożyły
się Katowice „Przedwiośniem”, zakra-
wającym na parodię Żeromskiego. By-
ło to coś w rodzaju sztuczki ze „szkla-
nych domów” opakowanej w gazeto-
wy papier.

Między „Przedwiośniem” a „Szacha-
mi” odbyła się premiera w „Kwadra-

cie”, teatrze firmowanym przez telewi-
zję, prowadzonym przez Dudka czyli
Edwarda Dziewońskiego i zakwaterowa-
nym w lokalu po małej scenie Axera,
czyli filii teatru Współczesnego. „Kwadr-
at” miał być kwadratowy, a okazał się
pudełkowy, miał być wystrzałowy,
a okazał się niewypałowy. Nowe plusze
i lotnicze fotele (znakomite do spania)
nie zastąpiły polotu repertuarowego.
Nowość sprzed blisko 35 lat – „Praw-
dziwy mężczyzna” Thurbera i Nugenta
– okazała się zwietrzałą komedią na
stosunki akademickie w USA ze sztucz-
nie i niezbyt taktownie doczeploną
ideologią (ostatecznie sprawa Sacco
i Vanzettiego z bulwarówką spaso-
wać się nie daje). Gdyby nie świetna gra
Krzysztofa Kowalewskiego fotele lotni-
cze spełniłyby do końca swoje natural-
ne o wieczornej porze przeznaczenie.
Zastąpiłyby łóżka. W końcu i tak i tak
„dobranocka”!

A w ogóle to niezbyt się w grudniu
szczęściło komedi. W podziemiach
eksploatowanych zazwyczaj przez
świetny kabaret „Pod Egidą” wystawio-
no „Łomot” Marka Grońskiego – dłu-
gowłosego kierownika działu kultural-
nego „Szpilek”. Jest to pełna zbożnych
intencji sztuczka sfastrygowana z kilku
skeczów o bardzo brzydkich pracow-
nikach i anielskim szefie – technokra-
cie. Dzieło uratowali świetni aktorzy:
Krystyna Sienkiewicz, Andrzej Fedoro-
wicz i Krzysztof Kowalewski. Nie wąt-
piąc w dobre intencje autora, należy
przypomnieć, że samymi intencjami
brukowane jest piekło. Zarówno dla
wierzących jak i ateistów.

WARMIŃSKI, który jest znany z
tego, że zawsze spóźnia się
z premierami, a prasówki daje,
kiedy sztuka rozegra się na dobre, i tym

razem z zapowiadanego na październik
„Balu manekinów” dopiero na grudzień
się „wyrobił”. Ale miał z tym swoim
kunktatorstwem rację. Wyszło mu
przedstawienie pierwsza klasa. Spek-
takl równocześnie i współczesny (ape-
luje do problemów wciąż aktualnych)
i osadzony w epoce swych narodzin tj.
w latach trzydziestych. A w ogóle to
najciekawszym zabiegiem inscenizator-
skim Warmińskiego wobec sztuki Bru-
nona Jasieńskiego było odczytanie tek-
stu poprzez doświadczenia teatru Mroź-
ka, a po trosze i Witkacego.

Jest to klucz prosty – przyjmujący,
że cała polska awangarda teatralna
(dzisiejsza i wczorajsza) jest jednej i tej
samej proweniencji: europejskiej z for-
my i narodowej z treści. Odnalezienie
takiego klucza, jak wszystkiego co pro-
ste i oczywiste, było trudne i praco-
chłonne. Stąd spóźnienia. Wiadomo
przecież, że to co mamy przed nosem,
najtrudniej dostrzec.

Np. 21 grudnia wypadło 100-lecie
urodzin Boya-Żeleńskiego. Przeszło tak
cicho i niepostrzeżenie, jakby dzieło
człowieka nic, lub prawie nic dla
naszej kultury nie znaczyło. Wszyscy,
oczywiście wiedzą i wiedzieli, że to
wiek upłynął od urodzenia człowieka,
który polskiemu czytelnikowi ofiarował
najznakomitsze dzieła literatury fran-
cuskiej, teatr polski nauczył szacunku
dla mądrej krytyki, polonistów zmusił
do odkurzenia ich warsztatu naukowe-
go, a nam wszystkim udowodnił na kil-
kadziesiąt lat przed kabaretami studen-
ckimi, że myślenie, i tylko myślenie, ma
kolosalną przyszłość. Nie mniej fascy-
nującą niż przeszłość. Ale po co zaj-
mować się znanym Boyem, skoro są
nieznani? Zaczniemy od nich.

Do niedawna np. nic nie wiedzieliśmy

o talentach aktorskich pani Umer, po-
pularnej piosenkarki. Ostatnio dzięki
pomysłowi Adama Hanuszkiewicza, ob-
sady jej w roli Racheli w nowej in-
scenizacji „Wesela” dowiedzieliśmy się,
że pani Umer talentów takich nie po-
siada, czym odbija wyraźnie od innych
wykonawców spektaklu. W przeciwień-
stwie do poprzedniej inscenizacji tym
„Weselem” Hanuszkiewicz wyraźnie
nawiązuje do tradycji ze zjawami, du-
chami, złotym rogiem, etc. Właściwie
rzecz jest „po bożemu”, choć ostatni
akt rozgrywa się w ogrodzie (ale to już
było i to nawet we Wrocławiu), zaś
Wernyhora przypomina jako żywo Jana
III Sobieskiego. Rewelacją przedsta-
wienia jest znakomita gra Andrzeja Ła-
pickiego w roli podtatusiałego i mocno
już wyeksploatowanego Pana Młodego.
Jest on strasznie młodopolski i okrop-
nie śmieszny zarazem – krzyżówka
poetyckiej egzaltacji i inteligenckiego
rągdaenia.

Zresztą dobrych ról jest tu na kopy:
Łomnicki (Gospodarz), Janczar (Cze-
piec), Dykiel (Panna Młoda), Kucówna
(Gospodyni), Wardejn (Dziennikarz),
Machalica (Stańczyk) itd. „Wesele”
wzbudziło kawiarniane spory: dobre
czy złe, klęska czy sukces? Czyli jak
zwykle, gdy w grę wchodzi Hanuszkie-
wicz. A więc i tu okazało się tradycjo-
nalne.

A poza tym – Szanowni Państwo –
grypa na całego, o czym donoszę cich-
cem, by nie siać paniki, po czym nafa-
szerowany Asprocolem z wolna udaje
się w kierunku łóżka. By zapomnieć o
teatrze, o przybytku, od którego głowa
boli.

ANDRZEJ HAUSBRANDT